

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

WARSZAWA, ŚRODA 10 MAJA 1933 ROKU Nr. 36

PIŁODMIYK

*Tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży*



POD PALMAMI



DO ROMANA SUCHECKIEGO W BIAŁEJ PODLASKIEJ. Czy to po raz pierwszy grałeś w teatrze, Romanku, gdyż dostał rolę ochotnika? Czy pamiętałeś dobrze swą rolę? Jak podobało się przedstawienie widzom?

J. RATNER, WARSZAWA, Królewska 29, m. 39, uczeń pierwszej klasy Szkoły Kreczmara, chciałby korespondować z rówieśnikiem, który mógłby wymieniać z nim znaczki pocztowe. Należy on wraz z kolegami do Ligi Ochrony Przyrody, która dożywia ptaszki w parku Ujazdowskim.

DO JERZEGO KUCZYŃSKIEGO W OSADZIE POCZTOWEJ LISOWICZE. Czy już zupełnie minął Twój koklusz i możesz już bawić się z innymi dziećmi?

DO DZIECI ODDZIAŁU IV i V W ŻŁOŚNICY. Tem więcej się Wam chwali, jeżeli urzędzacie tak ładne przedstawienie, nie mając wcale lokalu szkolnego, tylko klasy w wynajętych mieszkaniach. Zapewne i na święta odegraliście coś ładnego? Może nam opiszecie? A jakże tam idą nauka i zabawa?

DO RYSZARDA KOTONOWICZA W RADOMIU. Ładny wierszyk przysłałeś nam, Ryszardzie. Czy samodzielnie go układałeś, czy też z czyją pomocą?

DZIECIOM Z DOMU PRZY UL. GUMIŃSKIEJ 7, NA WOLI. Serdecznie dziękujemy za nadesłane dla biednych dzieci 13 złotych, zebrane na przedstawieniu.

DO HANI SZCZOTKOWSKIEJ W LIBIĄŻU. Pytasz, ilu prenumeratorów ma „Płomyk”? Znacznie więcej niż trzydzieści tysięcy. Nie wątpię, że potrafisz to napisać cyframi. Ale czy możesz wyobrazić sobie, ile to jest naprawdę dzieci?

DO KLAS IV i III SZKOŁY POWSZ. W HRYWIATKACH. Jakże udały się zabawki według wzorów płomykowych? Czy poza tem wykonywaliście jakie roboty ręczne według podanych w „Płomyku” wskazówek?

DO HENRYKA POPLAWSKIEGO W STAROSIELCACH. Rzeczywiście, że śliczny jest widok, który opisujesz w Twym liście, gdy cały cmentarz usiany jest światłami. Czy masz kogo z rodziny na cmentarzu?

DO HALI CZERNICKIEJ W LUBOMIRCE. Dowiedz się na pocztce, co to się dzieje z Twoim „Płomykiem”? Wysyłamy stąd zawsze jednakowo i zawsze pod opaską. Co tam słychać teraz w lesie?

DO ODDZIAŁU V-go SZKOŁY POWSZECHNEJ W BLACHOWNI. Piszecie, że chłopcy w Waszym oddziale najlepiej lubią szarady i zagadki. Czy i sami też układają? A co najlepiej lubią czytać dziewczynki?

DO HELENY BARBARY ZAHORSKIEJ. Owszem, ładne Twoje wierszyki, ale powiedz, dlaczego tak niedbale napisane? Przecież na każdym papierze i każdym ołówkiem można napisać starannie i równiutko. Wiesz o tem, pewno, że w „Płomyku” nie drukujemy utworów młodzieży, ale nie zważaj na to i przyslij jeszcze kiedy, co napiszesz, do przeczytania, dobrze?

DO KL. IV SZKOŁY ĆWICZEŃ IM. Z. STRZAŁKOWSKIEJ WE LWOWIE. Pewnie już otrzymaliście dawno radjoodbiornik i słuchacie audycyj. Prawda, jak dobrze słychać przez „Detefon”?

IRKA KASZUBSKA i IRKA LICHACZEWSKA, UCZENICE ODDZ. IV-A SZKOŁY IM. KR. JADWIGI W BIAŁEJ PODLASKIEJ mają następującą propozycję: „W tym roku nasz czwarty oddział urządza album geograficzny swojej miejscowości. Może który z oddziałów czwartych z innej miejscowości zechciałby ułożyć album swojej miejscowości i potem zamienić się z nami?” Irka Lichaczewska proponuje przynajmniej wymianę fotografii.

P Ł O M Y K

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



DZIECI PRZY SADZENIU LASU.

ŚWIĘTO LASU.

Działo się to niedawno, bo 29 kwietnia, w dużym, pięknym lesie. W lesie tym rosną różne drzewa: sosny, brzozy, dęby, świerki, osiki i graby. Najwyższe drzewa mają po 50, 60, a nawet 80 lat. Jest też tam kilka dębów bardzo starych, o grubym pniu i rozłożystych gałęziach. Ludzie obliczyli, że mają one conajmniej po 300 lat. Pod wysokimi drzewami rosną w tym lesie najróżnorodniejsze krzewy, jako to: leszczyna, czeremcha, kalina, jałowiec i inne. Ziemia w lesie porośnięta jest wrzosem i mchami, trawą i kwiatami.

Był to dzień piękny, słoneczny, więc wesoło było w lesie. Tysiące ptaszków ćwierkało, bzykały muszki i pszczoły, lecące z kwiatka na kwiatek, fruwały motyle, wygrzewały się na słońcu, śpiąc smacznie, zajączki.

Na drzewach i krzewach pokazały się dopiero co młode, pachnące świeżą zielenią listeczki, bo długie zimno w tym roku nie pozwoliło im wcześniej wyrosnąć. Słonko przygrzewało, a wiaterek lekko drzewami kołysał.

Na skraju lasu stało trzech ludzi, dwóch z nich miało trąbki za-



wieszona na zielonych sznurach. Byli to gajowi z leśniczym, gospodarzem lasu. Patrzyli wdał, na drogę biegnącą przez pole.

A po tej drodze szła duża gromadka dzieci, a z nimi parę starszych osób. Z tyłu jechały próżne wozy.

Dzieci śpiewały, bo im było wesoło. Szły przecież do lasu, gdzie jest tak ładnie, gdzie można bawić się najlepiej w chowanego, no i odbywać tajemnicze wyprawy do „Dzikiem Puszczy”. W lesie smakuje też najbardziej wszystko, co się do jedzenia zabrało z domu. A ćwiczenia harcerskie? Rozkłada się obozowisko, wartuje, robi się dalekie wycieczki w głąb lasu, odnajduje ślady — czy to mało przyjemności?

Dzieci były już blisko lasu i machały rączkami, śląc lasowi pozdrowienie, na co las w odpowiedzi, kiwając gałązkami, witał miłych gości w swych progach.

Naraz — co to za dźwięk silny się rozległ?

To gajowi podnieśli trąbki do ust i zagrali na powitanie fanfary. I oni radowali się zbliżającej się gromadce.

Dzieci dotarły do lasu. Leśniczy i gajowi przywitali się z nauczycielką i nauczycielami, a potem leśniczy powitał dzieci temi słowami:

— Witamy was, młodzi obywatele! Witamy was radośnie w lesie, w ten dzień uroczysty i dla was i dla lasu. Dlaczego nazwaliśmy ten dzień świętem i dlaczego w całej Polsce będzie taki dzień lasowi co rok poświęcony? Chodzi o to, dzieci, byście ten las poznały, pokochały i umiały się w nim zachować. Lecz niechby przede wszystkim, na gołej ziemi, na której był niegdyś las, powstał nowy, posadzony waszemi rękami. Las ten będzie wzrastał wraz z wami i będziecie mogli sami podziwiać, jak z pustego pola waszą pracą z małych, drobnych roślinek (sazzonek) wyrosną potężne drzewa, powstanie zwarty las ku radości i pożytkowi całego społeczeństwa.

Do tej pory było różnie. Gdy przychodziliście do lasu, łamaliście często niepotrzebnie dla chwilowej zabawy, czy ot tak, dla samego łamania, drzewka i gałęzie, zapalaliście ogniska, od których wzniewały się pożary, płoszyliście sarenki, zające, goniąc napotkane. Tak samo, ile razy przyszliście liczniejszą gromadką, czyniliście ze swego obozowiska prawdziwy śmietnik z papierów i pudełek.

A przecież każde złamane drzewko to zniszczone życie jednej żyjącej rośliny, obłamywanie gałązek to też ból, albo i zguba drzewka. Ogień, który zrazu ogarnia suche mchy i gałązki, przerzuca się na zdrowe, świeże drzewa, opala je na śmierć, albo powoduje długie cierpienie, chorobę drzewa. Bo nie myście, że drzewo nie czuje, drzewo tak samo czuje, tylko się skarżyć nie umie!

Čzęsto rwaliście dla chwilowego zadowolenia całe naręcza traw, kwiatków leśnych, a potem po chwili, niepotrzebne już wam, rzucaliście na ziemię. Czyście pomyśleli, że stała się krzywda wielu roślinom i to bezpożyteczna? A przecież, czyż trzeba koniecznie tak rwać, byle zerwać jak najwięcej?



STARE DĘBY.

Gdy się zakłada obóz, to pozostawione papiery trzeba przed odejściem zakopać, żeby nie pozostawić po sobie nieporządku. W lesie powinno być czysto i pięknie.

Wszystkie te krzywdy lasowi czyniliście dotychczas najczęściej przez brak zastanowienia. Lecz od dziś chcielibyśmy, byście stali się prawdziwymi przyjaciółmi lasu i jego opiekunami. Musicie też las poznać, nauczyć się rozróżniać drzewa i znać ich nazwy. Cóżby to była bowiem za przyjaźń, gdyby się nie znało imion przyjaciół? Czy zgadzacie się z tem, co mówię?

— Zgadząmy! — odpowiedział chór dzieci.

— Dziękuję wam w imieniu lasu, który wam swej radości głosem wyjawić nie może. Lecz czy wiecie, dlaczego las jest zawsze waszym najlepszym przyjacielem? Wy tłumaczę wam to zaraz. Już samo przyjscie do lasu wywołuje w was radość, taką, jak dziś. Bo w lesie jest pięknie. A jak słonko grzeje, to i radośnie. Las też jest dobrym lekarzem dla chorych. W lesie budują sanatoria, wśród suchych lasów tworzą całe uzdrowiska dla chorych na płuca. Niejedno dziecko las uratował od śmierci. Las przez czas wakacyjny daje wam zdrowie, siły i zapas radości na każdy nowy rok szkolny. Czy nie lubicie smacznych leśnych jagód?

Dla kraju las ma ogromne znaczenie, dostarcza bowiem budulca i opału. Duża przestrzeń lasów zabezpiecza nas od wielkich mrozów zimą, zbyt wielkich upałów w lecie, a na wiosnę las, przez powolne topnienie w nim śniegu, chroni też nas od nadmiernych powodzi.

Jak widzicie — las dostarcza człowiekowi samego dobra. To też o las dbać należy i nie tylko nie dopuścić do zniknięcia lasu przez jego zniszczenie, lecz trzeba się starać, by go jeszcze przybyło. W Polsce mamy dużo, dużo pustkowi, całe miliony hektarów, na których nic nie rośnie, bo albo żółty piasek utworzył na nich małe pustynie, albo są to błota, lub liche pastwiska. Otóż te ziemie można zamienić na las. I gdy co roku taki jeden dzień wszyscy poświęcimy sadzeniu lasu, to i te wszystkie pustkowia znikną. I wy będziecie dumni, że nowy las w Polsce własnoręcznie stworzyliście. I co roku, jak dziś, wznosić będziemy okrzyk — brawo młodzież i dzieci!

— Niech żyje las! Dziękujemy panu! — chórem odkrzyknęły dzieci.

— A teraz chodźmy sadzić las!

Wszyscy poszli na pobliskie poleśie, przeorane w pasy. Była to poręba po niedawno wyciętym lesie.

— Będziemy sadzili na wyoranych pasach, by się lepiej przyjęły sadzonki. Dziś będziemy sadzili sosnę.

Każda para dzieci miała jeden pasek do zasadzenia. Robota szła prędko. Dzieci z zapałem sadziły, oglądając się za siebie i widząc coraz dłuższą skibę zasadzoną przez siebie młodą sosenką. Do wieczora powstał cały szmat nowego lasu. Piękny to był dzień i radosny dla wszystkich.

J. Milewski.



3)

STANISŁAW STASZIC.

(1755 — 1826).

Dokończenie.

Ale niech Wam się nie zdaje, że u nas było najgorzej — na zachodzie bowiem Europy potrzeba było aż wielkiego rozlewu krwi, by wywalczyć równość wszystkich ludzi wobec prawa.

Poważną też rolę spełnił Staszic w życiu Państwa Polskiego. Przed jego oczyma przesunęły się takie fakty historyczne, jak 3 rozbiory Polski, Konstytucja 3-go Maja, powstanie Kościuszki, Księstwo Warszawskie i wreszcie Królestwo Kongresowe. Nad smutnymi dziejami Polski bolał, z radosnych jasnych kart historii — cieszył się wraz z gronem ludzi świątłych i rozumnych, z których pomocą odwrócił niejedno nieszczęście od Polski. W życiu politycznym zajmował wybitne stanowisko — był jednym z najruchliwszych i najczynniejszych członków Komisji Edukacyjnej, piastował urząd radcy stanu, dyrektora wydziału przemysłowego i rzemieślniczego w Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Nie można pominąć milczeniem działalności naukowej Staszica, on to bowiem pierwszy, już jako 50-letni starzec, udaje się w Tatry i Karpaty i z barometrem, termometrem i innymi przyrządami w ręku wspina się na szczyty; bada złoża skał, ich skład, roślinność i świat zwierzęcy naszych gór; ustala ciśnienie przy pewnych wysokościach i rozmieszczenie bogactw naturalnych. To wszystko spisuje w książce p. t. „O ziemiorodztwie gór dawnej Sarmacji” i oddaje całą wiedzę, zdobytą usilną i męczącą pracą, Wam w spuściznie po sobie. A Wy o tem wszystkim uczycie się na lekcjach geografii Polski i przyrody.

Wiadomości o rozmieszczeniu bogactw naturalnych i złożach skał wyzyskuje podczas piastowania urzędu dyrektora wydziału przemysłowego. Uruchamia wtedy bardzo wiele kopalni rudy miedzianej, cynkowej, węgla kamiennego; słowem górnictwo stawia na nogi od podstaw. Zakłada szkołę górniczą w Kielcach, na nauczycieli sprowadza z Saksonji fachowców górników, dba o dobrobyt górników i stwarza dla nich fundusz emerytalny.

A i o przemyśle, związanym z górnictwem, jak i wogóle o przemyśle nie zapomina Staszic. Zakłada i buduje nowe fabryki i huty. Dość wspomnieć, że dzięki jego inicjatywie powstają około Dąbrowy 22 huty cynkowe.

Widzimy z tego, że jest duszą każdej organizacji, czy instytucji, a nic nie czyni — dla siebie, dla osobistej korzyści. Wszystko — swój majątek, czas i zdrowie oddaje na usługi przedewszystkiem Polski, a potem współrodaków.

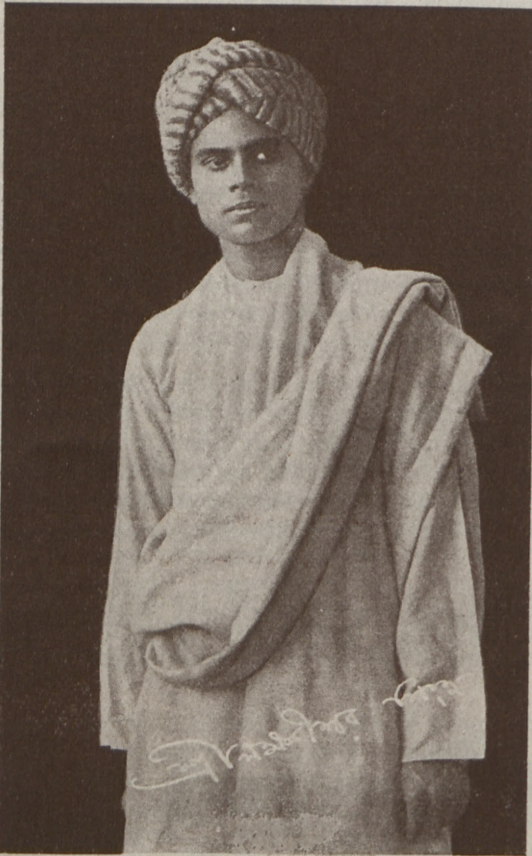
Za to i dlatego czcimy pamięć St. Staszica, tego wielkiego Obywatela!

Marjan Wdówka.

NASI ZAMORSKY GOŚCIE.

Do szkoły powszechnej Nr. 70 w Warszawie zawitali niezwykli goście. Kto rzuci okiem na ich podobizny, odrazu pozna, że owi goście przybyli z dalekich krajów, że ojczyzna ich nie znajduje się w Europie.

Ten pierwszy w zawoju na głowie i w nieznanym u nas stroju, to Lakshmiswar Sinha, Indus z Kalkuty w Indjach Angielskich. Na fotografii widać jego podpis w języku bengalskim. Gość ten miał w naszej szkole ciekawą lekcję geografji, na którą zebrało się sporo dzieci i rodziców. Na mapie Azji zobaczyli słuchacze, jak wielkie są Indje, gdzie są wysokie góry, najdłuższe rzeki i największe miasta. Potem Indus porównywał Polskę z Indjami i opowiedział o życiu tamtejszych mieszkańców, o nauce w szkołach, o pracowitych słońcach i swawolnych małpach, a na końcu pokazał przezrocza i zaśpiewał pieśń w języku bengalskim.



LAKSHMISWAR SINHA, INDUS Z KALKUTTY.

Z kolonji angielskiej Nigerji, znajdującej się nad zatoką Gwinejską, z miasta Lagos przybył nasz drugi gość o kędzierzawych włosach, grubych wargach i ciemnej skórze. Był to murzyn Kola Ajayi (Adzai). Przywiózł on z sobą kilkadziesiąt przezroczy i bębenek afrykański, najulubieńszy instrument muzyczny murzynów. Znów odbyła się lekcja geografji, tym razem — o Afryce. Usłyszeliśmy, jak żyją murzyni, jak pracują, jak się bawią, a na ekranie zobaczyliśmy ich siedziby, obrzędy weselne i pogrzebowe, ich bożków i zabawki dziecinne. Powiedział nam też murzyn, iż djabeł w Afryce nie jest czarny, jak w Europie, tylko biały.

Pogadanka zakończyła się piosenkami w języku Joruba przy akompaniamencie bębna. W jednej piosence chłopcy

wyśmiewają się z pijaków:
„Panie z wasami, nie pij
wiele! Panie z wasami, nie
pij wiele! Biali zachwalają
i sprzedają alkohol, ale ty
nie powinieneś tego pić”.

Pewno czytelnicy są ciekawi, w jaki sposób porozumiewali się z nami zamorscy goście. Wszak nie nauczyli się mówić po polsku, ani też nie posługiwali się językiem bengalskim lub narzeczem Joruba! Indus przyjechał do Polski po zwiedzeniu Szwecji, Finlandji, Estonji i Łotwy, w których wygłaszał swe odczyty. Murzyn wybiera się z Polski w podróż po Europie i nie zamierza uczyć się innego języka oprócz tego, który mu w drodze oddaje znaczne usługi. Jest to język sztuczny i łatwy do opanowania, zwany Esperanto. Twórca tego języka pragnął, aby ludzie na całym świecie mogli się z sobą porozumieć, nie używając wiele drogiego czasu na uczenie się tak trudnych języków obcych. Esperantyści, jak Sinha i Adzai, znajdują się wszędzie, nie brak ich też i w Polsce. Pogadanki w naszej szkole, wypowiedziane po esperancku, były tłumaczone przez kierownika szkoły na język polski. Liczba młodych esperantystów znacznie wzrosła, bo dzieci gorliwie wzięły się do nauki tego języka. Niedługo trafi się okazja do rozmowy z cudzoziemcami. Były już tu nauczycielki z Finlandji i w sierpniu nauczyciel węgierski, ale najwięcej podobala się wszystkim Szwedka, która w ostatki tak ochoczo tańczyła na zabawie dziecięcej. W niedalekiej przyszłości pewno będziemy się obywali bez tłumaczenia.

Czy inne szkoły chciałyby również przyjmować gości z dalekich krajów?

B. Gluchowski.



KOLA AJAYI Z NIGERJI.



7)

PRZYGODY LALECZKI.

Napisała Zofja Lepecka.

B U R Z A.

Poszliśmy wczoraj na spacer, ale zrobiła się burza. Tak mówili Kaszubi, którzy zawsze mieszkają na półwyspie Hel. Ale jaka dziwna była ta burza! Ani kropli deszczu, ani błyskawicy, ani pioruna! Niebo tylko zrobiło się troszkę szare. I zerwał się wiatr. O, jaki wiatr! Drzewa klaniały się tak nisko, jakby prosiły morze, żeby im pomogło. Ale wiatr był nielitościwy. Tak je giał i ciągle w tę samą stronę, że biedne drzewa zawsze już stoją pochylone. Drewniane kaszubskie domki drżały, jakby się obawiały, żeby nie pogiął ich tak, jak drzewa.

Ja sama drżałam. Ale nie byłam przerażona. Miałam tylko wrażenie, że już nie mam przy uszach muszel grających, jak to dawniej zdawało mi się nad morzem, ale że sama przemieniłam się w jedną, wielką muszlę, takie wiatr z morzem wyprawiał harce.

Trwało to do późnego wieczora.

Słońce zapadło w morze, całe krwawe.

JAK RYBACY ŁOWIĄ FLONDRY.

Ach, jaki cudowny miałam wczoraj dzień! Byliśmy z rybakami, daleko, na zatoce Puckiej. Jechaliśmy wielką czarną łodzią z żaglami. Było trzech rybaków, Kaszubów. Widziałam, jak zwijali i rozwijali żagle. Rybacy pokazywali, w której stronie leży port Gdynia, gdzie zatrzymują się statki polskie, a gdzie leży Puck, miasto, do którego jeżdżą po zakupy wszyscy mieszkańcy półwyspu i zawożą tam na sprzedaż ryby. Potem pokazywali wsię, leżące na półwyspie Hel. Bo Gdynia i Puck leżą na stałym lądzie. Ale już niewiele wsi było widać. Myśmy mieszkali w Jastarni. Niedaleko była Kuźnica, Chałupy i Wielka Wieś. Później to już i wsi nie było widać, tylko niebo i wodę.

Rybacy pojechali na połów ryb. O tej porze łowi się flondry. Flondry, to są śmieszne ryby. Wyglądają, jakby je kto rozciął na połowę i mają oczy z jednej strony głowy, nie z dwóch, jak to mają inne ryby. Rybacy przywiązali linę do beczutki, potem rzucili beczutkę w wodę. Beczotka była drewniana i pusta, więc pływała po wierzchu. Potem zaczęli wiosłować. Jeden z rybaków wrzucał do wody sieci, przywiązane do dwóch lin. Do lin były poprzyczepiane kamienie, więc sieć poszła na samo dno. A było tam bardzo głęboko. Kilkanaście metrów. Dno porośnięte było wodorostami, tak, że w tem miejscu woda była czarna i nic nie było widać. Gdy rybacy zatoczyli koło i dojechali z powrotem do beczutki, zarzucili kotwicę, łódź zatrzymała się i dwóch rybaków zaczęło wyciągać liny. Liny były bardzo długie. Żeby je równo wyciągnąć i jednocześnie podnieść sieć, liny były poznaczone wiechetkami słomy.

Dokończenie nastąpi.



„CZY WIDZICIE DYM OKOŁO KAPUNDY?...”

Wielki, wspaniały lirogon rozrzuca potężnymi pazurami ziemię, zaleknione robaki prostym dziobem dobywa i zajada. Podwieczorek smakuje mu; raz po raz odwraca głowę, okrytą brązową, pierzastą czapeczką, i patrzy w zachwyceniu na swój piękny, wysoki ogon, którego pióra, w kształt liry ułożone, drżą na wietrze, jak struny, i połyskują w blaskach słońca, jak bronz.

Drzewa, rosnące dokoła, niewiele dawały cienia. Pionowo, ku niebu patrzyły znużone gorącym blado-zielone liście, których nigdy nie mrozi śniegiem i lodem walcząca zima. Z gałęzi sfrunął ptak rajski. Pęki długich, złoto-żółtych piór rozłożyły się na wietrze, jak frendzle fruującego dywanu. Niby latawiec barwny, przepłynął przez błękitne niebo, znacząc lot swój promienistą smugą. Czyżby uciekał?

Lirogon podnosi wysoko głowę, bystrem okiem spogląda za ptakiem rajskim — przed kim goni!? Lirogon nasłuchuje... A tymczasem wygrzebane z ziemi robaki chowają się, chciałyby zaryć się tam, gdzie ich pazury i dziób ptaka nie dosięgną. Lirogon zapomina o podwieczorku — słucha... A potem ucieka. Aby jak najdalej od gajów akacjowych, z poza których dochodzą niepokojące odgłosy. Silnie i szybko stawia wysokie, mocne, pazurzate nogi, kołysze się za nim wielka, szeroka lira pięknego ogona. Lirogon ma małe, krótkie skrzydła i nie lubi fruwać. Cóż to za niebezpieczeństwo się zbliża, że lirogon zrywa się do lotu?...

Słychać już tupot nóg, coraz wyraźniej dźwięczą śpiewające głosy:

Narrinierzy idą.

Niosą kangury.

Narrinierzy idą.

I idą szybko.

Niebawem przyjdą!

Narrinierzy idą!

Narrinierzy idą, wracają z łowów. Narrinierzy śpiewają. Narrinierzy śpiewają zawsze. Kiedy są weseli i kiedy są smutni, kiedy głód im dokucza i gdy najedzą się tłustego mięsa kangura. Ale dzisiaj rzadziej śpiewają w radości, niż ongi, kiedy jeszcze żaglowiec kapitana Jamesa Cooka nie zarzucił kotwicy u australijskich wybrzeży, a flaga angielska nie załopotowała nad zatoką Bothany. Już w tysiąc sześćset pierwszym roku żeglarz portugalski Godinho de Eredia ujrzął skrawek północnego wybrzeża Australji i pierwszy wieść o lądzie nieznanym do Europy przywiózł. Ale dopiero po podróżach kapitana Cooka i jego następców — angielskich, francuskich i rosyjskich żeglarzy, — dopiero od stu trzydziestu lat piąta część świata znana nam jest dokładnie.

W spokoju żyli bronzowi, półnaczy Australijczycy; zwinni i silni—dzielnie władali włócznią i bumerangiem, dzikie psy Dingo układali do polowania, aby pomocne im były w walce o żywność, oddychali wolnem, swobodnem południowem powietrzem i — śpiewali, gdy (a było to przed stu pięćdziesięciu laty) na pełne morze wypłynął z Anglii wielki żaglowiec.

Na pokładzie żaglowca znajdowało się siedem koni, pięć krów, dwanaście świń i dwadzieścia dziewięć owiec. Byli także ludzie, zakuci w kajdany.

To przestępcy polityczni, których rząd angielski chciał się pozbyć z kraju.

Wiele tygodni płynął nieszczęsny okręt, nim dotarł do wschodnich wybrzeży Australji, nim zawinął do zatoki Bothany. Dzisiaj rozpościera się wielkie miasto Sydney w tem miejscu, w którym zesańcy angielscy znaleźli dziką, nieznaną ziemię, dzikie, nieznanne zwierzęta i dzikich, nieznanych ludzi.



Lirogon.



Australja.

Biali ludzie wzięli się do pracy: zakładali fermy rolne, uprawiali pola, hodowali owce.

Australijczycy polowali i śpiewali.

Mijały lata. Biali ludzie odkryli bogate kopalnie złota i drogich kamieni, odkryli obfite złoża węgla kamiennego. Do wydobywania skarbów potrzeba rąk robotniczych. Biali ludzie starali się zaprząć brzoźnych Australijczyków do pracy, do wyładowywania okrętów, których coraz więcej zawijało do portów australijskich, do pracy w kopalniach, budowy fabryk i dróg żelaznych...

Ale plemię Narrinierów nie lubi pracować nad budową dziwnej, niezwykłej, niepotrzebnej drogi, nie lubi układać na niej ciężkich, żelaznych szyn.

Narrinierzy lubią polować.

Oto wracają poprzez gęszcze leśne, niosą upolowane kangury i śpiewają:

Znużeni jesteśmy teraz.

Droga nieskończenie długa!

Łowy były bardzo wielkie.

Och, jaka droga daleka!

Uciekają przed myśliwymi zwierzęta, barwną smugą przecina powietrze ptak rajski, lirogon zrywa się do lotu. Ale oto doszli Narrinie-

rzy do toru kolejowego, który ich biali bracia usypali. Podziwiają polyskujące w słońcu szyny, nie wiedząc, do czego one służyć będą — nigdy nie widzieli pociągu. Rozłożyli się obozem obok toru, rozpalili wielkie ognisko i zabrali się do uczyty.

Słońce już było na wysokości rosnących niedaleko eukaliptusów, których obumarła kora oderwała się od pnia i, zwisając długimi pasami ku ziemi, smutnie powiewała na wietrze, gdy uczujący Narrinierzy poczęli, wspominając polowanie, śpiewać:

| | |
|----------------------------------|-----------------|
| Kangur biegł szybko. | Zjadłem go! |
| Ale ja biegłem jeszcze szybciej. | Kangur, kangur! |
| Kangur był tłusty. | |

Ale małemu Kai, który kiedyś na fermie dostał garść grochu, nie smakuje tłuste mięso kangura.

Kai śpiewa tak:

Parrato! Parrato!
Pindi mai birkibirki.

Co po polsku znaczy:

Grochu, który jedzą biali,
Chętniebym cię jadł.
Chętniebym się jadł!

Kai śmieje się ze swych towarzyszy, którzy nigdy nie jedli grochu. Z wielkiej uciechy skacze Kai na nasyp, między szyny, uderzając nogami o drewniane podkłady, odprawia dziki, szalony taniec. Wypręża ręce, by je natychmiast zgiąć, biegnie kilka kroków naprzód, by zaraz się cofnąć, a przytem wygina ciało naprzód i wtył, jak wąż. Białe koła wymalowane dookoła oczu i białe kreski, zdobiące plecy, nogi i ręce, polyskują purpurą zachodzącego słońca i czerwienią płomieni rozpalonego ogniska.

Dokończenie nastąpi.



...niosą upolowane kangury...

3)

NOWA ARKA NOEGO.

Napisał Mieczysław Krzepakowski.

Wielki parowiec nie był przygotowany do takiej wielkiej fali. W salonach i kajutach zatrzęszczały meble, rozległ się brzęk tłuczonego szkła, krzyki przerażonych ludzi.

Trzymając się oburącz poręczy kapitańskiego mostku, komendant Steven rzucał krótkie, dobitne rozkazy. Bacznie śledził każdy ruch okrętu, wyczuwając nachylenie najmniejsze, jakby ciało jego było zespolone z potężnym cieleśm parowca.

Kiedy jednak przeszła jedna fala, za nią druga i trzecia, a statek nie pograżył się w odmęty morza, ludzie opamiętali się nieco. Jeszcze co chwila rozlegały się okrzyki przerażonych kobiet i dzieci, ale też odezwały się głosy uspakajające panikę. Wiele osób domagało się natychmiastowego powrotu do Nowego Jorku.

— Nie dojedziemy do Ameryki przeciw takiej fali — powiedział kapitan do stojącego obok niego oficera. — Znosi nas na północ...

— Natrafiliśmy pewnie na jakieś gwałtowne wstrząśnienie dna morskiego.

— To rzecz zrozumiała wobec tych wiadomości, jakie nam przyniosło radio.

— Co zrobimy, komendancie?

— Narazie nie pozwolimy falom zatopić statku. Jesteśmy odpowiedzialni za dostarczenie przy życiu i w zdrowiu 1.500 pasażerów do miejsca przeznaczenia...

Wielki parowiec skakał po potężnych spienionych falach, jak okruszyna. Od czasu do czasu bryzgi wody zalewały pokład. Resztki fal, jakie spadały na okręt, zmywały z pokładów wszystko, cokolwiek nie było mocno do nich przytwierdzone. Załoga nie dopuszczała nikogo na pokład w obawie zmycia do morza. Gdyby ktokolwiek znalazł się w morzu, nie byłoby dla niego najmniejszej nadziei ratunku: przy takiej fali nie było można marzyć o spuszczeniu łodzi ratunkowej.

Walka ze zbuntowanym morzem trwała przez cały dzień i noc. Pasażerowie uspokoili się zwolna. Ale na czole komendanta statku osiadała coraz groźniejsza chmura.

Zdumiewało go przedewszystkiem to, że mimo wszelkich usiłowań nawiązania rozmowy z jakąkolwiek stacją radiową, wszystkie milczały, jak zakłète. Z radjoodbiornika nie dobywał się żaden głos, mimo, że urządzenia odbiorcze znajdowały się w najzupelniejszym porządku. Komendant nie mógł znaleźć wytłumaczenia tej niepojętej ciszy w przestrzeniach, zawsze napełnionych gwarem muzyki i ludzkich głosów.

— Może to jakieś zaburzenia w przestrzeni, wywołane niezwykle silnymi wybuchami wulkanicznymi? — usiłował tłumaczyć jeden z oficerów.

Komendant kręcił głową. Nie wydawało mu się to prawdopodobne.

Trzeciego dnia fala nieco zmaląła. Ale okręt, według obliczeń, został zapędzony w najzupełniej nieuczęszczane strefy północne oceanu Atlantyckiego. Teraz dopiero udało się potężnym maszynom „Splendidu” zapanować nad mocą fal i okręt wziął kurs na południowy-wschód.

Wbrew wszelkim oznaczeniom na dokładnych mapach morskich, prądy oceanu, mające od niepamiętnych czasów ustalony kierunek, okazywały się zupełnie odmienne.

— Co się dzieje na naszej starej Ziemi?! — szeptał komendant do pierwszego oficera. — Radjoodbiorniki milczą, jak zakłete, prądy morskie uległy jakimś niepokojącym zmianom. Kto wie, czy nasze busole działają należycie?

Stary marynarz przekonał się jednak, że w działaniu busol nie zaszły żadne niepokojące zmiany: jak każdy marynarz, doskonale orjentował się na mapie nieba, którą tworzą konstelacje, a które dawnym żeglarzom zastępowały wymyślne przyrzady ostatnich czasów.

Po tygodniu komendant był zmuszony ograniczyć racje żywności dla pasażerów i załogi. Statek był zaopatrzony w żywność na czas normalnej podróży z niewielkim dodatkiem „na wszelki wypadek”, nikt jednak nie brał pod uwagę takiego „wypadku”, jak zapędzenie parowca przez fale na daleką północ.

Dni mijały w trwożnym oczekiwaniu. Całe setki pasażerów otaczały dzień w dzień milczący radjoodbiornik, domagając się coraz niecierpliwiej naprawy rzekomego uszkodzenia. Komendant bowiem, nie chcąc siać paniki, obwieścił, że stacja radjowa na parowcu uległa uszkodzeniu, które wkrótce będzie naprawione. Okrętowi elektrotechnicy wysłuchiwali codziennie gorzkich uwag na temat swych zdolności, przyjmowali je jednak w milczeniu w myśl rozkazu komendanta.

W trzecim tygodniu podróży ocean uspokoił się zupełnie. Parowiec zdążył powoli ku brzegom Europy, gdyż komendant kazał oszczędzać węgla.

Według najdokładniejszych obliczeń „Splendid” winien był po pięciu dniach podróży znaleźć się przy lądzie portugalskim. Niestety, minął tydzień, a lądu nie było widać. Dowództwo statku było coraz bardziej niespokojne.

Ludzie na statku popadli w przygnębienie. Wylegiwali się całymi dniami na leżakach, snuli się ociężały i senni po pokładach. Niektórzy nie opuszczali kabin, inni oparli o poręcze przedniego pokładu znużonym wzrokiem wpatrywali się w dal, w której widzieli ciągle grzywy fal i niebo.

Niewiele było osób, które zachowywały się niespokojnie. Były to przeważnie matki, dopominające się obfitszego i lepszego pożywienia dla swych dzieci, albo też same dzieci, które nie przejmowały się niczem i urządzały zabawy, denerwując przygnębione osoby dorosłe.

Wszystko wskazywało na to, że należy oczekiwać rzeczy najokropniejszych. W miarę posuwania się na wschód, coraz więcej czerniło się szczątków na falach mętnego morza. Wśród nich znajdowały się domy,



...coraz więcej czerniło się szczątków na falach...

sprzęty potamane, części okrętów pogruchotanych przez potężną siłę. W grobowym milczeniu przyglądali się pasażerowie „Splendidu” zwłokom ludzkim, rzucanym bezwładnie przez fale.

Na statku wszyscy zapadli w przygnębiające odrętwienie.

Wreszcie pewnego dnia wśród mgieł dalekich, rozwleczonych na widnokregu, luneta komendanta uchwyciła zarysy jakiegoś lądu.

— Ziemia! — krzyknął komandor Steven tak głośno, że usłyszano go naokoło mimo szumu morza i sapania maszyn.

Okrzyk kapitana przebiegł podawany z ust do ust przez cały okręt. Ludzie poczęli się tłoczyć na przedni pokład. Tak, nie uległo wątpliwości: zarysy lądu stawały się coraz wyraźniejsze.

Dokonano pośpiesznie skrupulatnych obliczeń, z których wynikało, że ląd musi być żalosną resztką kontynentu Europy, a mianowicie jej częścią wschodnią. Okręt znajdował się mniej więcej w okolicach Berlina, który spoczywał obecnie gdzieś na morskim dnie.

Upłynęły długie jak wieczność godziny.

Można już było gołem okiem oglądać płaski brzeg, pozbawiony roślinności, śladów budowli, sprawiający wrażenie pustyni.

Komendant wydał odpowiednie rozkazy, by „Splendid” zbliżył się do lądu z wielką ostrożnością. Kształt wybrzeża kazał się spodziewać,

że posiada spadek bardzo łagodny, a więc statek mógł łatwo zaryć się w płytkim dnie.

Maszyny wreszcie stanęły.

Natychmiast została spuszczone łódź i zasiadł w niej pierwszy oficer wraz z kilkoma marynarzami. Wszyscy pasażerowie nie spuszczaali oczu z łodzi, kołysanej przez drobne fale.

Dopiero późnym wieczorem dowiedzieli się o rezultatach wyprawy.

— Łąd jest całkowicie pusty — mówił pierwszy oficer. — Znalazłem na nim zaledwie ślady życia. Poza bujnie pleniącą się trawą niema innej roślinności. Dużo szczątków, wyrzuconych przez morze, oplątanych w wodorosty... I wiele martwych ciał ludzi i zwierząt. Widok mrozący krew w żyłach!

Komendant wysłuchał słów oficera w milczeniu. Po chwili zdecydował:

— Nie jesteśmy w stanie dalej jechać. Nie mamy żywności. Wylądujemy tu, dokąd nas Opatrzność zaprowadziła. Może w głębi łądu ocalały jakie ludzkie osady. Jutro wysadzimy pasażerów na łąd.

Tej nocy niewiele osób spało na „Splendidzie”. Rozprawiano i sprzeczano się zawzięcie. Jedni wołali, by jechać dalej, przyczem część radziła udać się na północ, część na południe.

— Jesteśmy przy polskim brzegu — mówił ze smutkiem pan Rowiński. — Jak się dowiadywałem od oficera i sprawdzałem na mapie, znajdujemy się w okolicach Miechowa...

— Któżby się spodziewał, któżby się spodziewał takiego nie szczęścia! — lamentowała pani Rowińska. — Co też się stało z Warszawą?!.. Taka jestem niespokojna o los krewnych...

— Warszawa zapewne ocalała — pocieszał pan Rowiński żonę, choć sam w to nie wierzył.

I Adaś, jak dorosły mężczyzna, starał się naśladować ojca:

— Nie płacz, mamu — tulił się do niej, kiedy ujrzał łzy w jej oczach, — ciocia na pewno wyjdzie po nas na stację...

Pani Rowińska całowała chłopca w jasne kędziory i starała się ukradkiem otrzeć łzy, które niepowstrzymanie napływały do jej oczu.

Rozkaz kapitana został obwieszony pasażerom następnego dnia rano. Ale zaledwie kilkadziesiąt osób zgromadziło się przy łodziach, gotowych do opuszczenia statku.

Dalszy ciąg nastąpi.



36)

TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Malachowski.

Ten dzień jednak spędzili w pałacu amenokala Ahammuka na radosnej uczcie, wydanej dla uczczenia zwycięstwa, uczcie, w której brało udział całe plemię.

Były tam smaczne rzeczy. Więc, jak zwykle, pieczony baran z ryżem. Lecz prócz tego ogromny przysmak koczowników — wielbłądzie cielątko, gotowane w mleku oraz pieczeń z antylopy. Dla zwolenników jarzyn podawano bób, fasolę, soczewicę i świeże ogórki. Nawet ciastek, suszonych fig, daktyli i pomarańczy było poddostatkiem.

Po uczcie odbyła się „fantazja”. Tak nazywają Arabowie wszystko, co jest piękne. Fantazją może być bogate, ozdobnie haftowane odzienie, kosztowna broń, piękne sprzęty. Lecz przede wszystkim fantazją zowie się zabawa wojenna, w której biorą udział najlepsi jeźdźcy plemienia.

Pędzą oni na wspaniałych koniach, jak do ataku, strzelają w powietrze ze swych długich rusznic i zdaje się, że w dzikim zapale roztratują wszystko na swej drodze. Lecz nie. Dobiegają do widzów i, gdy ci, zwłaszcza, jeżeli jeszcze nie uczestniczyli w tej ceremonii, cofają się w przerażeniu, zawracają na jednym miejscu z niezmierną zrecznością rozhuwane rumaki.

Już pędzą w drugi koniec pola z wywijaniem szablami, skryci kurzem i dymem wystrzałów.

Odbywa się to kilkanaście razy, aż wreszcie jeźdźcy defilują przed wodzem plemienia i na tem się „fantazja” kończy.

Następne dni mogli już wszyscy spokojnie zużyć do swych celów, nie będąc niepokojeni przez nikogo. Kategoryczne pod tym względem rozkazy szejka zapewniły im całkowitą swobodę. Pierwszą pracą ekspedycji było zbudowanie na wystającym nad wodą zrębie skalnym małej stacji turbin, oraz założenie we wszystkich jaskiniach i przejściach instalacji elektrycznej.

Jaskinie, zamieszkiwane dawniej przez „czcicieli wody”, były obszerne i wygodne i zupełnie wystarczały na składy i mieszkania ekspedycji. Jak obliczył pan Grzelak, naczelnik oddziału mierników, jaskinie te mogły pomieścić ogromną elektrownię, dostarczającą prądu całemu Hoggarowi i potężnej stacji pomp, mającej wydobywać na powierzchnię wodę, przeznaczoną dla celów nawadniania. Prąd rzeki podziemnej był tak silny, że mógł uruchomić turbiny o sile kilku milionów koni parowych.

To też pan Łamicki rozwinął wszechstronną i energiczną działalność. Jedna grupa budowała wygodną drogę samochodową, którą miało transportować maszyny, inna cementownię, mające dostarczyć cementu dla przyszłych fabryk i zakładów.

Jednocześnie pan Grzelak, który był oficerem saperów w rezerwie, wybierał obronne miejsca pod budowę przyszłych fortów, mających strzec niepodległości powstającego państwa przed jakimikolwiek zakusami z zewnątrz.

Pragnąc dać miejscowej ludności coś więcej ponad obietnice oraz stworzyć teren pod przyszłe osiedle robotnicze, pan Łamicki opracował plan irygacyjny, czyli plan nawodnienia wielkiej doliny, nazwanej uroczyście „Doliną Odrodzenia”. Gromady Tauregów krzątały się raźnie pod kierunkiem pana Grzelaka, gdyż ten rodzaj pracy był im najbardziej zrozumiały i rokował najdoraźniejsze korzyści. Kopano kanały irygacyjne i odmierzano grunta, które miały być podzielone przez wodza między ludność.

Osiedle zaczęło się prowizorycznie zabudowywać, co zresztą przychodziło nie trudno, zważywszy przyzwyczajenie Tauregów do zamieszkiwania pod namiotami. Dla wygody owego, rosnącego z dnia na dzień osiedla założono tymczasowe rurociągi i postawiono pompę, która, pracując bezustannie, dostarczała wody nie tylko na potrzeby osiedla, ale i na zraszanie otaczających je terenów.

W tem zbiorowisku pracowitych mrówek musiał i Telesforek zająć się nie na żarty pracą. Trudności z wynalezieniem jej nie miał, gdyż przede wszystkim musiał pod kierunkiem wujaszka pracować w dalszym ciągu nad kuciem kursu piątej klasy. Dziwno mu czasem było uczyć się w tem otoczeniu polskiej literatury, gdy ciekawe berbecie Tauregów gapiły się nań, siedząc cicho i w pozie pełnej poszanowania dla niezrozumiałej czynności „młodego pana”. Ale jakoś pchał tę taczkę, gdyż w nagrodę za dobre postępy wujaszek brał go do jaskiń, które coraz bardziej poznawał.

Dalszy ciąg nastąpi.

KTO WZBOGACIŁ SPIŻARNIĘ EUROPY?

Europa wydawała tak mało jarzyn, przypraw i owoców, że wszystkie części świata musiały złożyć się na wzbogacenie i urozmaicenie naszej kuchni.

Weźmy choćby Polskę. Jakie znajdziemy w niej zboże dziko rosnące? Żadnego. Jakie jarzyny? Żadnej, oprócz szczawiu. Jakie przyprawy? Chrzan. Jakie owoce? Poziomki, czernice, borówki, leśne maliny, jeżyny, berberys, orzechy laskowe, ułęgałki i jabłka leśne. Dodajmy do tego miód, grzyby i — koniec. Wszystko inne zostało sprowadzone.

Zwierzęta i ptactwo domowe pochodzą z Azji i ludy, które stamtąd przywędrowały do nas, zabrały je z sobą, jak również nasiona zbóż.

Pszenicę sprowadzili Rzymianie z Azji Mniejszej; ryż z Egiptu; kapustę i cebulę z Egiptu; drzewa pomarańczowe i cytrynowe z Azji; migdały i słodkie kasztany z Syrii; orzechy z Turkiestanu; z Persji brzoskwinie. Rzodkiew i buraki pochodzą z Chin.

Mądry cesarz Karol Wielki, który żył w IX w., dbając o wyżywienie ludu, sprowadził ze Wschodu do Niemiec rośliny strączkowe, marchew, brukiew i ogórki. Kazał też zakładać przy domach sady i warzywniki.

Cukier z trzciny cukrowej, oddawna używany w Indjach i w Arabji, długo nieznaną był w Europie. Owoce smażone w miodzie stanowiły jedyną łakotkę Rzymian. W r. 996 cukier po raz pierwszy zjawia się w Wenecji, prowadzącej ożywiony handel ze Wschodem, ale rozpowszechnia się dopiero skutkiem wojen krzyżowych.

W r. 1746 aptekarz berliński Markgraf powziął myśl wyrabiania cukru z buraków, a w r. 1801 Francuz Achad zakłada pierwszą cukrownię na Śląsku.

Szparagi rosną dziko na Korsyce i w Hiszpanji, ale dopiero przez uprawę nabrały wybornego smaku, tak samo, jak pochodzące z wyspy Krety kalafjory, które rozpowszechniły się późno: w XVIII-ym wieku. Orzechy włoskie przywiózł do Polski św. Jacek Odrowąż. Pory, selery, pietruszkę i t. d. sprowadziła królowa Bona i stąd ich nazwa: włoszczyzna.

Odkrycie Ameryki wpłynęło na wzbogacenie naszej kuchni. Mniejsza o ananasy, przywiezione przez Kolumba z Gwadelupy; mniejsza o słoneczniki, dostarczające dobrego oleju, ale kakao stanowi bardzo cenny nabytek, kukurydza również, a już nieobliczoną wartość mają pochodzące z Peruwji ziemniaki.

W XVII-ym w. przywiózł ziemniaki Anglik Drake, ale z początku podawano je tylko na stołach królewskich i magnackich. W Warszawie ogrodnik Łuba zaopatrywał w nie kuchnię Jana III.

Nie można było przekonać ludzi o ich pożyteczności i dopiero w drugiej połowie XVIII-go w. ogrodnikowi francuskiemu Parmentier udało się przełamać tę niechęć.

Dzięki postępom sztuki ogrodniczej, posiadamy teraz nowe, nieznanne naszym dziadom i pradziadom odmiany jarzyn i owoców, które pięknnością i smakiem przewyższają dawne gatunki.

Kawa, herbata, kakao, tak rozpowszechnione teraz napoje, niedawno dostały się do Europy. Po odsieczy Wiednia, w r. 1683 założył tam pierwszą kawiarnię Polak, Kulczycki, z zapasów znalezionych w obozie tureckim. Kakao pojawiło się w XVIII-ym w., a herbatę chińską zaczęto pić w Europie dopiero w XIX-ym.

Badając historję odżywiania się ludzkości, widzimy, że klasy uboższe odżywiają się coraz to lepiej i obficie. To, co niegdyś było przysmakiem, podawanym tylko na stołach bogaczy, dziś stało się dostępne nawet dla niezamożnych. Sprawił to szybki i tani przewóz kolejami i parowcami. Dzięki nim wieśniak polski jada ryż, sprowadzony z Indyj, a robotnik angielski — befsztyk z mięsa z Australji.

Jednym z dobroczyńców ludzkości był kucharz francuski Appert, który w r. 1803 wynalazł taki sposób konserwowania produktów, że przez czas dłuższy zachowują właściwy smak i wartość pożywną. Mięso, jarzyny i t. d., włożone w puszki blaszane z małym otworem, podaje się działaniu bardzo wysokiej temperatury. Gdy z puszki wyjdzie powietrze, wypchnięte przez parę, otwór zamyka się szczelnie. Wynalazek nieoszacowany dla żeglarzy i podróżników.

Zofja Sokolowska.



POLSKIE PAROWOZY ZAGRANICĄ.

Nawet do dalekiej Afryki zawędrował parowóz polskiej fabrykacji, zakupiony przez tamtejsze władze.

POLSKIE WYNALAZKI W LEŚNICTWIE.

Leśnictwo nasze zyskało trzy bardzo pożyteczne przyrządy. Pierwszym wynalazkiem jest maszyna ręczna do ścinania drzew. Obsługę jej stanowi jeden niewykwalifikowany robotnik, a zbudowana jest tak, że uniemożliwia powalenie się ścinanego drzewa na maszynę. Praca jest szybka i lekka, a koszt znacznie mniejszy, niż przy stosowanych dzisiaj zagranicznych maszynach motorowych. Drugim wynalazkiem jest przyrząd do jak najściślejszego pomiaru średnicy drzewa, wreszcie trzeci t. zw. taksometr podaje jak najdokładniej wysokość drzew stojących i średnicę na dowolnej wysokości.

Wszystkie trzy przyrządy, zbudowane przez jednego z naszych leśników państwowych, zostały zbadane, opatentowane i zalecone przez specjalną komisję z ramienia Dyrekcji Lasów Państwowych.

NAJWIĘKSZY OKRĘT AMERYKAŃSKI.

Wyruszył w podróż największy okręt amerykański „Manhattan”. Długość jego wynosi 215 m., a szerokość 26 m. Okręt pomieścić może 1250 pasażerów i posiada między innymi normalnej wielkości plac tenisowy, specjalny pokład dla zabaw dzieci, piarnię z budami i t. p.

40.000 ZUCHÓW - CHŁOPCÓW

musi się znaleźć w gromadach — oto tegoroczne hasło władz harcerek. Dlatego też założonych będzie około 1000 nowych gromad.

CZAROWNIK ARGENTYŃSKI.

Ta poważna, siwobroda osobistość to nie kto inny, jak wielki argentyński czarodziej. Potrafi on wiele rzeczy. I myszy lub szczury z domostwa wyprowadzić i na góry i lasy przegnać i bytło uleczyć, a nawet w potrzebie i ludziom w niemocy poradzić lek skuteczny.

Argentyna to jeszcze dzisiaj kraj słabo zaludniony i do wielu miejscowości w niej lekarz nie dociera.

Do takich zabitych deskami miejscowości przyjeżdża konno stary czarodziej i popisuje się, jak umie, swą sztuką.



CZAROWNIK ARGENTYŃSKI.

SŁOŃCE JUŻ DOGRZEWA, SADZILIŚMY DRZEWA.

Czy wiecie, nacośmy
 drzewa sadzili?
 Na dom szumiący
 dla ptaków, motyli.
 Na grzyby jesienne,
 na letnie jagody,
 na mrok poddrzewny
 w dnie skwarnej pogody.
 Na pieśni słowików,
 konwalji kwitnienie,
 na mech, co wędrowcom
 da latem wytchnienie.
 Czy wiecie, pocośmy
 drzewa sadzili?
 Na norkę, z której się
 borsuk wychyli.
 Na dziupłę dzięcioła,
 na dziupłę wiewiórki,
 która wychowa w niej
 rude swe córki.
 Na małą kotlinkę
 zajączków - szaraków
 i na schronienie
 sarenek wśród krzaków.

Czy wiecie, naco
 sadziliśmy drzewa?
 Na ogień złocisty,
 co w mróz nas ogrzewa.
 Na stołki, szafki,
 ławki i stoły,
 co do powszechnej
 zdadzą się szkoły.
 Na linje, ekierki,
 obsadki, piórniki,
 na Jasieńkowe
 drewniane koniki.
 Na łodzie i wiosła
 tak bardzo potrzebne,
 na samolotów
 skrzydła podniebne.
 Wreszcie na wiosnę,
 wreszcie na jesień,
 co kilim złoty
 rozwija w lesie
 i co nam z wiatrem
 szeleści właśnie
 te najrzowniejsze
 jesienne baśnie.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.

E C H O.

Małeńki cudaczek-księżniczka z nastroszoną czuprynką,
 psotnica, figlarka: przedrzeźnia i tarza się w trawie ze śmiechu.
 Mieszka w lesie, nad rzeką, nosi króciutką krynolinę
 i nazywa się — Echo.

Oszukuje, zwodzi... w gęstwinie zielonym ognikiem zabłyśnie
 i nagle, jak wystraszona sówka się schowa,
 ustami ciemno-czerwonemi, jak dojrzałe wiśnie,
 powtarza kpiąco usłyszane słowo.

Gonić ją — ucieka, wołać — szydzić nie przestanie.
 I, jak na złość, powtarza okrzyk coraz głośniej:
 tak! z niej głupiutki, śmieszny roztrzepaniec,
 co nic się nie zna na grzeczności...

ANNA RUDAWCOWA.

Sandały własnej roboty

Wszyscy macie na pewno w domu jakieś stare buty, niezdatne już do użytku. Możecie sobie z nich zrobić bardzo ładne i wygodne sandały na lato.

Musicie wziąć w tym celu parę starych butów na niskich obcasach, które byłyby o jakie dwa numery za duże i miały względnie całe podeszwy. Potrzebne Wam jeszcze będą: duże nożyce albo bardzo ostry nóż, gruba igła, szare nici, ostre dółtko albo sztyło. Teraz zabierajcie się do roboty.

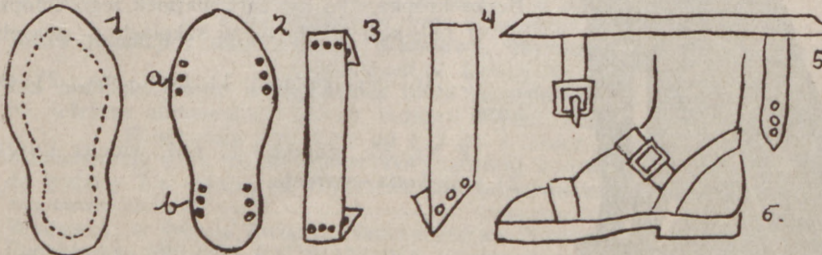
Odrywacie wierzch buta od podeszwy, w czym możecie sobie pomóc obcęgi i bierzecie się do zrobienia z niej podeszwy waszego sandała. Brzeg podeszwy jest zawsze trochę zniszczony przez szew, czy też kołeczki, a więc obcinacie ten brzeg dużymi nożycami (takiemi, jak używa się do cięcia blachy), albo bardzo ostrym nożem. Musicie przedtem postawić nogę na podeszwie i obrysować kredą, aby po obcięciu brzegu nie okazała się za mała (rys. 1). Kiedy podeszwa ma już wielkość pożądaną, czyszcimy ją prosto wodą z mydłem a następnie smarujemy jakimśkolwiek tłuszczem (stare masło, smalec, kawałek słoniny), żeby była miękka.

Potem, w miejscach a i b (rys. 2) zapomocą dółtka albo sztyła przewiercamy szereg małych dziurek. Teraz zabieramy się do roboty pasków do naszych sandałów. Wykrawamy je ze starego wierzchu buta. Przedtem należy wierzch namoczyć, aby zmiękł. Paski lepiej wykrajać przedtem z papieru, aby dobrze znać ich długość. Potrzebne są cztery paski. Jeden, który przytrzymuje sandał na palcach, drugi — na pięcie i dwa do zapięcia (rys. 3 i 5).

Wszystkie paski, należy ukrajać trochę dłuższe (3—4 cm). Następnie gotowe już paski smarujemy tłuszczem, ażeby po wyschnięciu nie stwardniały znowu. Brzegi ich zakładamy do środka (rys. 3) i robimy w nich szereg dziurek, odpowiadających dziurkowaniu podeszwy. Teraz bardzo grubą igłę nawlekamy mocną, szarą nicią i pasek 3-ci możemy już przyszyć.

Pasek 5 jest więcej skomplikowany. Musi on być przyszyty nie prostopadle, a pod pewnym kątem, jak to widzimy na rys. 4. Kąt ten trzeba sobie dobrać na papierowej formie, zależnie od nogi. Do niego prostopadle przyszywamy dwa krótkie paski, jeden zakończony klamerką, a drugi dziurkami. Sandał jest już gotów. Jeżeli chcecie mieć sandały wyjątkowo ładne, kupcie flakonik farby do skóry „Wilbra” i pomalujcie nią paski i brzeg podeszwy. Zwłaszcza czerwony i niebieski wygląda bardzo ładnie. Jedna butelka starczy do 8—10 par, więc jeśli kupicie do spółki, wypadnie po 20—30 gr. na każdego.

Halina Krügerówna.



Dział rozrywek.

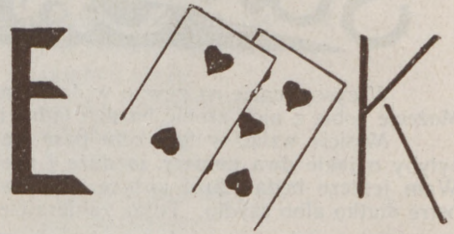
REBUS 1.



ZAGADKA.
Ułożyła A. S.

Od domu do domu,
od chaty do chaty,
nie patrząc, czy biedny,
czy człowiek bogaty,
okrągłe, malutkie
po świecie wędrują.
Dla nich w pocie czoła
ludźcie wciąż pracują.

REBUS 2.



SZARADA.
Ułożyła Z. S.

Po *drugiej pierwszej* głos daleko
płynie;
druga trzecia oddział żołnierzy się
zwie.
Wszystka — smutno, gdy chłopcu,
lub dziewczynie
przypadnie to miano, co serce im rwie.

ROZWIĄZANIA.

ZADANIE Z Nr. 34.



Rebusa z Nr. 31: Utrzymuj w czystości i porządku książki i zeszyty w szkole i w domu.

Z Nr. 33: zagadki 1) ziemniaki; 2) Stryj; 3) Stary Błażej ubogi bardzo chłopiec, miał chatkę oraz dwóch synków dwukropek Jasia i Stasia i psa Burka kropka. To był cały majątek tego chłopca; 4) O (z-e-r-o); Figla — w szkołach — aeroplan.

Z Nr. 34: zagadki 1) kosa - osa; 2) osa - kosa.

Z Nr. 35; zagadki 1) nóż, widelec i łyżka; 2) wojewoda - starosta.

DO MIKOŁAJA DEJNEKA W ŻYRYCZACH. Za młody jesteś jeszcze do wojska. Trzeba, żebyś skończył szkołę powszechną. Czy nic nie poprawiło się w Twojej rodzinie? Wiemy, że na wsi jest bardzo ciężko i bieda jest wielka, ale da Bóg zmieni się to i będziesz mógł zostać przy ojcu, szkołę skończyć, a wtedy się namyślisz, co masz robić.

DO JULJUSZA WINNICKIEGO. O, niełatwa to sprawa zrobić aparat kinowy, przez który można by przepuszczać film, jak w kinach. Przytem obchodzić się należy z takim aparatem bardzo ostrożnie, bo łatwo o zapalenie filmu, który robi się z łatwopalnego materiału.

ODDZIAŁ IV SZKOŁY POWSZECHNEJ W KOŁACZKOWICACH P. STOP-NICA, WOJ. KIELECKIE pragnie nawiązać korespondencję ze szkołami na Pomorzu, z którymi chce wymienić obrazki, przedstawiające ich okolice. Dzieci w Kołaczkowicach zakładają bowiem album krajoznawcze.

DO KLASY III-B SZKOŁY POWSZECHNEJ W BORYSŁAWIU - MRAŹNICY. Napiszcie pod adresem Polskiej Macierzy Szkolnej w Gdańsku.

O FIARY.

NA BEZROBOTNYCH.

Szk. powsz., kl. IV i V w Michałowie — zł. 1.50; z wyniku loterii, urządzonej na bezrobotnych przez dwie Krysie: Krysia Koźmińska i Krysia Steczkowska z Katowic — zł. 4.17.

NA FUNDUSZ KU CZCI POLEGL. ŻWIRKI I WIGURY.

Szk. powsz., kl. V w Szewnie — 2 zł; szk. w Wiewiórcie — zł. 1.50; dzieci ze szk. w Wałowicach — zł. 5; z okazji imienin kierownika szk. 7 kl. szk. Nr. 1, Szadek — zł. 10; szk. im. Staszica w Piastowie — 50 zł; szk. w Ropicy Polskiej — zł. 4.56; różne oddziały szk. powsz. w Falenicy — zł. 12.70; szk. w Kosowie Poleskim — zł. 5.30; szk. we Frywałdzie — zł. 3; szk. Nr. 98 w Warszawie — zł. 10; kl. VI szk. męskiej we Wronkach — 3.42.

NA GIMNAZJUM POLSKIE W BYTOMIU I OLSZTYNIE.

Sklepik szkolny szk. żeńs. Nr. 3, Koło — 5 zł; klasa VII szk. Nr. 2 we Włoszczowie — zł. 6.50; szk. w Wiewiórcie — zł. 3.50.



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33:

| | Miesięcznie | Kwartalnie | Rocznie | Nr. poj. |
|--------------------------|--------------|--------------|---------|----------|
| „Piomyk” | 1 zł. 50 gr. | 4 zł. 50 gr. | 14 zł. | 40 gr. |
| „Piomyczek” | 1 zł. 20 gr. | 3 zł. 50 gr. | 11 zł. | 30 gr. |
| „Piomyk” z „Piomyczkiem” | 2 zł. 30 gr. | 6 zł. 50 gr. | 21 zł. | 60 gr. |

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Krajobraz